NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 617·50 Marek, Półrocznie 1235·— Mk. Rocznie 2470·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 98 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 50 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 29 października 1921. Nr. 44.

Zuchwały napad bandycki



Napad bandytów na kasyera kopalni na drodze między Porębą a Zawierciem.

Od Wydawnictwa.

Z powodu świeżej podwyżki płac personalu drukarni i kliszarni, oraz dalszego podrożenia papieru i chemikaliów, gazu i elektryczności, oraz taryfy przewozowej, zmuszeni jesteśmy podnieść z dniem 1. listopada b. r. cenę *Nowości Illustrowanych* na **80 Marek** za numer, wobec czego prenumerata naszego pisma wynosić będzie od 1 listopada:

Kwartalnie . . . 988·— Mk.
Półrocznie . . . 1976·— „
Rocznie . . . . 3952·— „

PT. Czytelnicy zatem zechcą uwzględnić nasze wyjątkowo krytyczne położenie i przyjść nam z pomocą, nie odmawiając dalszego poparcia, na które pod każdym względem, mimo piętrzące się coraz bardziej trudności, staramy się zasłużyć.

Zuchwały napad bandycki.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki bezpieczeństwa w niektórych okolicach naszego kraju, szczególniej zaś, jak to zauważyć łatwo, w bezpośredniem sąsiedztwie większych środowisk przemysłowych, pozostawiają stale bardzo wiele do życzenia. Zwłaszcza na obszarze byłej Kongresówki, gdzie bandytyzm pod troskliwem okiem rosyjskiej policyi rozwijał się bez przeszkód, stosunki pod tym względem są i dziś bardzo opłakane, a ludność żyje w ciągłej niepewności jutra. Nowozorganizowana nasza policya państwowa dokłada wprawdzie starań, aby złe wyplenić, zakorzeniło się ono jednak zbyt silnie i trudno mu podołać. Poza tem i wojna wpłynęła bardzo ujemnie na niektóre jednostki, budząc zbrodnicze instynkty, dążące do wzbogacenia się kosztem drugich, choćby to miało kosztować życie właściciela, broniącego przed napastnikami swego dobytku.

Niema prawie dnia, by do uszu naszych nie doszła wieść o jakiejś śmiałej kradzieży, włamaniu lub napadzie bandyckim, niektóre z nich dokonywane bywają z takiem zuchwalstwem i bezczelnością, o jakich się u nas dawniej nie słyszało. Skutki wojny, prowadzonej rzekomo w obronie kultury i cywilizacyi, zadają kłam twierdzeniom jej inicyatorów, walczących tylko słowami, gdy natomiast przeciwstawia się im czyny.

Nieprzyjaciół porządku społecznego i cudzej własności, którzy radzi byliby bez pracy żyć dostatnio i wygodnie, namnożyło się u nas, a przy dążeniach do osiągnięcia celu nie przebierają oni w środkach. Walka z nimi ciężką jest i niebezpieczną, niejednokrotnie ofiarą jej padają i życia ludzkie.

Podobny wypadek bezczelnego i wprost urągającego wszelkim zarządzeniom, mającym zapewnić ludności spokój i bezpieczeństwo, bandytyzm wydarzył się w ostatnich dniach ubiegłego tygodnia w Zagłębiu dąbrowskiem, gdzie ofiarą rozzuchwalonych bandytów padły trzy życia ludzkie, a łupem stała się pokaźna kwota.

O godzinie 4 i pół po południu na drodze między Porębą a Zawierciem w powiecie będzińskim na kasyera jednej z tamtejszych kopalń, przewożącego w tym czasie w asystencyi policyi kasę z pie-



Naczelnik Państwa na manewrach w Nowo-Radomsku: Powitanie Naczelnika Państwa chlebem i solą przez burmistrza Nowo-Radomska przy bramie tryumfalnej podczas wjazdu do miasta.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Zjazd oświatowy ks. kapelanów w Nowym Sączu: Uczestnicy Zjazdu wraz z fachowym doradcą kapitanem W. Nowakiem.

niądzmi, napadło kilku bandytów, uzbrojonych w rewolwery.

Bandyci strzeliwszy, zranili ciężko siedzącego na wozie policyanta. Następnie po ubezwładnieniu rannego w bestyalski sposób zamordowali naprzód jego, a potem kasyera i woźnicę.



O odbudowę Francyi: Przedstawiciele Francyi i Niemiec, Loucher i Rathenau podczas konferencyi w Wiesbadenie.

Po wymordowaniu ich bandyci zrabowali pieniądze i zbiegli.

Ile było gotówki, na razie nie stwierdzono. Pościg za bandytami zarządzono i w celu tem łatwiejszego ujęcia ich zażądano nadesłania z Krakowa psa policyjnego.

Naczelnik Państwa na manewrach w Nowo-Radomsku.

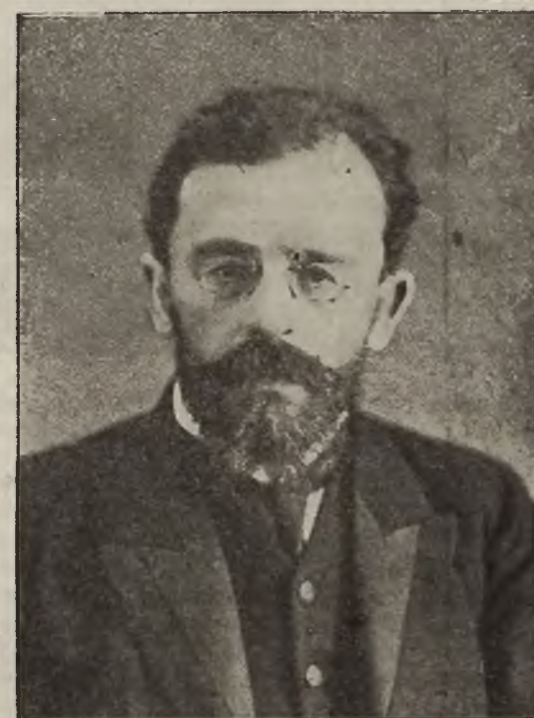
W ubiegłym tygodniu przybył Naczelnik Państwa w charakterze czysto wojskowym, jako Naczelny Wódz naszej armii, do Nowo-Radomska, aby wziąć udział w odbywających się tamże manewrach, tak zwanej „grze wojennej“.

Polega ona na tem, że zebrani oficerowie przeważnie przy zielonym stoliku, przy użyciu map, rozwiązują zadane im problemy, które następnie poddaje się wspólnej ocenie i krytyce. Tego rodzaju ćwiczenia są stosunkowo bardzo trudne, wymagają bowiem daru szybkiej oryentacyi i stanowczej decyzyi o co w polu łatwiej, niż operując na mapie i wydając rozkazy nieistniejącym zastępom.

Przy tej sposobności odbywają się też i ćwiczenia w polu, a tak jedne jak i drugie mają za cel teoretyczne i praktyczne przygotowanie dowódców do należytego spełnienia ich ciężkiego obowiązku, co bowiem przeprowadzono w teoryi, to później sprawdza się w praktyce.

Na ćwiczenia te powołano do Nowo-Radomska bardzo wielu wyższych oficerów, między nimi szesnastu dowódców dywizyi, wśród nich jen. Szeptyckiego, Latinika, Osińskiego, Skierskiego, Rządkowskiego, Szymańskiego, Pogorzelskiego, Galicę i innych. Na porządku dziennym były również różne ważne sprawy, stojące w ścisłym związku z reorganizacyą naszej armii i wymagające gruntownego omówienia oraz zasięgnięcia opinii fachowców, choć bowiem cały świat mówi dziś o ogólnem rozbrojeniu, a przynajmniej ograniczeniu zbrojeń, nie straciło przecież dotąd nic na swej wartości stare łacińskie przysłowie, uczące, że, kto chce zażywać pokoju, musi być należycie przygotowanym do wojny.

Pierwszy dzień pobytu Naczelnika Państwa w Nowo-Radomsku przeznaczony był na uroczystości powitalne, w których wzięła udział zarówno wojskowość, jak i tłumnie zebrana ludność z miasta i okolicy.



Nowy prezes T. S. L.: Poseł sejmowy, dr. Ernest Adam.

Zjazd oświatowy ks. kapelanów W. P. w N. Sączu.

Praca oświatowa w szeregach naszej armii rozwija się coraz pomyślniej, niektóre zwłaszcza miejscowości zapisały się bardzo chlubnie jako ożywione jej centra, z których szeroko oświata i kultura rozchodzi się po całym kraju i wnika właśnie tam, gdzie jej najbardziej potrzeba. W szeregu tych miejscowości wybija się stale na pierwszy plan Nowy Sącz



I. Kurs pożarnictwa okręgu Dyrekcyi kolejowej lwowskiej: Kierownicy Kursu, uczestnicy i goście, przybyli na popis. Fot. M. Münz, Lwów.



Z pracy kulturalnej w południowej Lubelszczyźnie: Kierownictwo i uczestniczki Kursu kroju i szycia urządzonego w Szkole Gospodyń Wiejskich na folwarku „Teodorówka pod Biłgorajem.

z swym oddziałem Uniwersytetu Żołnierskiego. Należycie obmyślana i planowo i konsekwentnie przeprowadzona akcya na tem polu przynosi prawdziwy zaszczyt tej tak pożytecznej instytucyi i energicznemu jej kierownictwu, która dokłada wszelkich starań, aby nasz żołnierz poza fachowem wykształceniem militarnem nabył w czasie swej służby wojskowej także i tych wiadomości, które są dlań niezbędne w życiu późniejszem, gdy opuści szeregi i powróci do swego domowego zajęcia, przerwanego spełnianiem obowiązku obrony kraju.

Praca ta wydaje już owoce, napływ chętnych czerpania z tej krynicy wiedzy jest coraz silniejszy, żołnierz nasz rozrywkę umysłową nauczył się cenić i przedkłada ją ponad weselsze może, ale bezwartościowe spędzenie wolnych chwil. Jaką zaś korzyść przyniesie swemu społeczeństwu uświadomiony i należycie teoretycznie i praktycznie wykształcony żołnierz, wracający pod swój dach rodzinny, to zrozumie chyba każdy. W rodzinnej swojej wsi stanie się on pionierem kultury i postępu, działając zachęcająco na innych, by wstępowali w jego ślady. Czas więc służby wojskowej, uważany dotąd za stracony, przy obecnem pojmowaniu rzeczy przynosi żołnierzowi aż nazbyt widoczną korzyść, czyniąc z niego nie tylko żołnierza, ale przygotowując go równocześnie także i do przyszłego życia obywatelskiego.

Ten prawdziwie postępowy kierunek opieki duchowej nad naszym żołnierzem zasługuje na silne podkreślenie i gorące poparcie całego ogółu, przedewszystkiem zaś czynników miarodajnych, mających bezpośrednią styczność z naszym żołnierzem.

Dla podniesienia oświaty w wojsku, ulepszenia metody jej udzielania w zmienionych obecnie warunkach pokojowych, celem zastanowienia się nad wyborem środków, któreby przez wojsko oddziaływały na lud i jego kulturę, dla wyszukania najpewniejszej drogi, któraby przez wojsko doprowadziła do pokrycia całego naszego państwa siecią kooperatyw, tępiących egoim i niezgodę, a szerzących najszczytniejszą miłość bl źniego obok wzmagania się materyalnego dobrobytu współziomków, odbył się w dniach od 17 do 21 października b. r. I. Zjazd oświatowy księży kapelanów W. P. w garnizonowym Uniwersytecie Żołnierskim w Nowym Sączu pod przewodnictwem ks. dziekana płk. Niezgody. Fachowych wskazówek udzielali: proboszcz dywizyi górskiej strzelców podhalańskich ks. major Antoni Miodoński, pierwszy w odrodzonej Polsce pionier niesienia oświaty i kultury przez wojsko w lud, założyciel Uniwersytetu Żołnierskiego w Nowym Sączu i kierownik garnizonowego U. Ż. kapitan Władysław Nowak.

Doniosłe projekty akcyi oświatowo-kulturalnej w wojsku, według zapadłych na Zjeździe uchwał, przedłożone zostały wyższym władzom wojskowym do zatwierdzenia.



Z pracy kulturalnej w południowej Lubelszczyźnie: Wystawa prac uczestniczek Kursu kroju i szycia przy Szkole Gospodyń Wiejskich na folwarku Teodorówka.



Z pracy kulturalnej w południowej Lubelszczyźnie: Artykuły spożywcze, wyrobu uczenic Szkoły Gospodyń Wiejskich na folwarku Teodorówka.

Nowy prezes T. S. L.

Stanowisko prezesa T. S. L., tej najważniejszej instytucyi kulturalnej, niosącej oświatę w najszersze koła społeczeństwa, opróżnione przez śmierć śp. dra Ernesta Bandrowskiego, zajął obecnie długoletni wiceprezes Towarzystwa, ceniony i ogólnie znany pracownik na niwie społecznej i oświatowej, poseł sejmowy dr. Ernest Adam. Wybór ten powitać należy z radością, dotychczasowa bowiem działalność dra Adama daje pełną gwarancyę, że pod jego kierownictwem Towarzystwo Szkoły Ludowej dojdzie do potężnego rozkwitu, nie krępowane w obecnych warunkach trudnościami natury politycznej, z któremi tak często musiało walczyć za byłych rządów austryackich.

Nowo wybrany zarząd T. S. L. zabrał się też zaraz od pierwszych chwil energicznie do dzieła, postanawiając rozpoczęcie na szeroką skalę obliczonej akcyi oświatowej w całym kraju, zwłaszcza zaś na kresach wschodnich i to w połączeniu z propagandą polskiej państwowości, chcąc w ten sposób pójść w ślad podobnych instytucyj zagranicznych, oddających swym społeczeństwom niespożyte zasługi.

Dowiadujemy się o tem z ogłoszonego przez T. S. L. komunikatu, w którym czytamy, że w dn. 8 i 9 października odbyło się w Krakowie pierwsze po walnym zjeździe lwowskim posiedzenie zarządu głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej. Ukonstytuował się po niem zarząd główny i tak nowym prezesem, trzecim z rzędu od istnienia T. S. L. został obrany jeden z założycieli i długoletni wiceprezes T. S. L. poseł Ernest Adam. Jako wiceprezesów

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

64 I.

W piątym roku naszego okropnego współżycia pod jednym dachem, ośmieliłem się na przedsięwzięcie rozpaczliwej próby. Raz jeszcze, pomimo strasznego wspomnienia tamtej pierwszej próby, pogrążyłem Maryę w śnie hypnotycznym. Uczyniłem to, drżąc z trwogi i z wielką ostrożnością. Ale tym razem innego rodzaju ironia losu zatamowała moją wolę. Kiedy nienawiść Maryi do mnie ujawniała się w ostrzejszej jeszcze niż zazwyczaj formie, uspakajałem ją suggestyą i narzucałem sen — lecz teraz nie był to już sen prawdziwy, tylko lekka odrętwiałość, uspakajająca jej nerwy, nie zwalczająca jednak jej woli.

Marya odpowiadała mi spokojnie i podlegała w pewnej mierze mojej suggestyi, czasem jednak potrafiłem ją zmusić do wypowiedzenia w tym półśnie, że mnie kocha, ale zaledwie dotknąłem jej ręki, stawała się oporną i dziką i uciekała, pozostawiając mnie bezsilnym i zrozpaczonym aż do łez.

Próbowałem różnych sposobów, aby ją ujarzmić, zmieniałem miejscowości naszego pobytu, wywoziłem w dalekie kraje, próbowałem nawet pozostawić ją samą przez kilka miesięcy, to znowu nie opuszczałem jej ani na chwilę, uciekałem się do próśb i siły — wszystko było bezskuteczne!

Przez czas ten utrzymywałem listowne stosunki z Mojżeszem Kabib, któremu doniosłem, że Marya umarła w Niemczech i że ją pochowałem na cmentarzu małego miasteczka Düsseldorf. Zdaje mi się, że on nigdy w zupełności nie uwierzył zapewnieniom, lecz przez obawę przedemną milczał. Posyłałem mu ciągle pieniądze, bo popadł wówczas w wielką nędzę i zajmował się w Rzymie sprzedażą starych obrazów i różnych innych przedmiotów. Przez niego otrzymywałem ciągle wiadomości o małej Racheli, której uroda i duma zupełnie podobną była do urody i dumy Maryi.

Kiedy ją po latach ujrzałem, miała lat szesnaście. Była tak piękną, tak pociągającą, że ujrzawszy ją, zapragnąłem ją posiąść, dlatego, że była córką Maryi i tak podobną do niej i ja wówczas miałem już lat pięćdziesiąt. Byłem jeszcze brzydszy i wstrętniejszy i sam brzydziłem się sobą za to pragnienie. Rachela była cudownym, woniejącym kwiatem, na który najwyżej wolno mi było patrzeć zdaleka, a ja zapragnąłem zerwać go i cieszyć się jego upajającą wonią.

W ten to sposób przez te dwie fatalne namiętności, które wżarły się w moje życie, ściągnąłem nieszczęście na te dwie kobiety, które najwięcej ukochałem na świecie.

Usiłowałem zabić hrabiego Ranieri'ego Lambertini'ego, który chciał mi wykraść Rachelę i hrabiego Roberta Alimenę, który wykradł mi uciętą rękę Maryi. Lecz przeznaczenie okazało się silniejsze odemnie, bo udało mi się tylko zranić niebezpiecznie pierwszego — drugi zaś uprzedził mnie, wykradając Maryę z mojego domu.

— Czy wiecie, w jaki sposób zabiłem tę kobietę? Zrobiłem na niej doświadczenie, które przeprowadzałem z dobrym skutkiem już dawniej na innych osobach — zasuggestyonowałem ją na odległość. Kiedy po powrocie z Dublina zastałem mój dom pusty, bez Maryi i zaufanych służących, postanowiłem zabić uciekającą, a potem zabić siebie samego. Miesiąc upłynął, zanim dowiedziałem się o miejscu pobytu hrabiego Alimeny i miesiąc ten przeżyłem w najokropniejszych torturach. Marya była jeszcze piękną, a Alimena młodym, pełnym życia człowiekiem, który mógł się podobać każdej kobiecie.

Kiedy dowiedziałem się, że Alimena ukrył Maryę na wyspie Wight, udałem się tam bezzwłocznie z postanowieniem zabicia jej w jakikolwiek sposób.

Przez dwie noce siedziałem, ukryty w łodzi, pod oknami Maryi i hrabiego Alimeny, próbując trudnego zasuggestyonowania Maryi na odległość.

Można sobie wyobrazić, w jakim stanie znajdowałem się przez te dwie noce. Nie byłem pewnym, czy wola moja i władze hypnotyczne będą mógły podziałać na Maryę z takiej oddali.

Jak jaguar wokoło swojej zdobyczy, tak ja krążyłem przez te dwa dni wokoło willi, w której ukryta była Marya. W nocy zaś siedziałem w łodzi, kołyszącej się na ciemnem, wzburzonem morzu, mając oczy wlepione w okna „ich" pokoju. Oh! nie wiem doprawdy, co mogło mnie powstrzymać, by przemocą nie wpaść tam, między nich i nie zamordować ich oboje... oboje splątanych w miłosnym uścisku. Nie mogąc się zdobyć na zemstę lwa, wybrałem zemstę gada.

— Ona — myślałem — zawezwana przezemnie, przyjdzie do okna, a wówczas ja jej każę skoczyć z balkonu w przepaść i ona posłuszną mi być musi!

— Oh! Boże! jakimże tryumfem zabiło mi serce, kiedy nareszcie pragnienie moje ziściło się i drugiego dnia, późnym wieczorem, ujrzałem cień biały, zbliżający się do okien balkonu. To była Marya! To była ona! Więc przybywała na moje wołanie! Nie chciała mi nigdy być posłuszną w miłości w stanie snu hypnotycznego, lecz teraz powolną mi będzie, kiedy jej rozkażę umierać...

Popełniłem tę zbrodnię. Popełniłem tę zbrodnię nikczemną, której przebaczyć mi nie może ani Bóg, ani ludzie! Zabiłem w sposób najohydniejszy niewinną istotę, której człowiek, kochany przez nią, nie mógł bronić ani uratować.

Od strasznej chwili, w której na rozkaz mój ujrzałem spadające ciało Maryi z balkonu jej willi, od tej chwili, w której usłyszałem głuchy łoskot jej głowy, rozstrzaskującej się o bruk kamienny — coś zamarło, rozbiło się w mojej piersi.

Czy nie lepiej było dla mnie widzieć ją pogrążoną w śnie hypnotycznym, jak wówczas, kiedy ją wywoziłem z Moskwy? Uwoziłem ją wówczas pełny nadziei, że obudzi się przecież i będzie pomimo wszystko moją własnością. Teraz, kiedy z tej kobiety pozostały tylko szczątki skrwawione — cóż mi po niej pozostaje! Kochanek jej zaraz po katastrofie wybiegł z willi. On to złożył jej ciało w pokoju, gdzie musiał doznać tyle rozkoszy miłości. On to okrył pocałunkami jej piękne, czarne warkocze, on to zarzucił kwiatami jej drogie szczątki!

Ah! on zapewne usłyszał mój straszny wybuch śmiechu! Ale nie wie, że śmiech ten rozdarł mi serce na zawsze!

Umrę już za godzinę!...

Ostatni z moich wiernych służących zaniesie ten manuskrypt na cmentarz w Coves i złoży go na grobie Maryi. Chcę, aby tajemnica moja stała się jawną. Będzie to moja pokuta. Ginę, jak najnędzniejszy z nędzarzy, jak najmarniejszy gad ziemski. Nikt nie zapłacze nademną, a ściągnę sob e przekleństwo tych wszystkich, którym zbrodnia moja znaną będzie. Nie dbam już teraz o to. Nienawidzę się sam i pogardzam sobą!

Umrę za godzinę...

Przetnę sobie arteryę na szyi i patrzeć będę spokojnie na krew spływającą po mojem ciele.

Jest to sposób zadania sobie śmierci bardzo dla mnie odpowiedni. Ta krew moja gorąca i czerwona doprowadziła mnie do śmierci, ta krew, w której gorzał płomień młodego, pięknego mężczyzny, podczas kiedy ja byłem tylko ohydnym potworem, godnym politowania.

Wy zaś, Ranieri Lambertini, Rachelo Kabib, Robercie Alimena, bądźcie zadowoleni. Wasz niepokonany nieprzyjaciel, wasz prześladowca okrutny, sławny Markus Henner, umrze dobrowolnie, wytoczywszy sobie krew z żył i porzuci was wszystkich. Lecz wiedzcie, że tylko przez nią i dla niej prześladowałem was w ten sposób i nienawidziłem tak strasznie! Dla niej pragnąłem waszej śmierci i dla niej to uczyniłem to wszystko i umieram teraz. Oh! gdyby chociaż zwłoki moje leżeć mogły pod ziemią obok jej ciała, w tej samej trumnie! Ale ta radość jedyna nie będzie mi przyznaną! Aż do ostatniego dnia, żywa czy umarła, Marya Kabib nigdy nie należała do mnie! Nigdy —

Markus Henner".

Czytanie tego ponurego manuskryptu trwało dosyć długo. Kiedy bowiem Ranieri podniósł głowę, na twarzy jego zmienionej wyczytać było można uczucie człowieka, który zbadał tajemnicę życia.

Podniósł oczy na Dicka Leslie i wyrzekł cicho:

— I co dalej? On się naprawdę zabił?

— Tak, panie. Zabił się.

— Przeciął sobie żyłę?

— Znaleziono go zamkniętego w swoim domu na Broadway. Leżał w kałuży krwi.

— A więc Markus Henner nie żyje! — zawołał Ranieri, jak gdyby mówił do siebie.

— Tak. I wraz z nim zatarł się wszelki ślad życia. Przed śmiercią spalił całą swoją korespondencyę, wielką ilość manuskryptów i notatek naukowych tak, że nikt z żyjących nie będzie mógł nigdy zbadać całej tajemnicy jego życia. Pozostawił jednakże testament...

— Testament?

— Tak... Zapisał cały majątek swój, który był olbrzymi, biednym żydom w Palestynie.

— Alimena nie mógł zatem nasycić swojej zemsty... — szepnął Ranieri w zamyśleniu.

— Tak, nie mógł — i dlatego obawiam się o jego życie — wyrzekł ze smutkiem detektyw.

— Powinien pan pospieszyć do niego, pozostać przy nim i czuwać nad każdym jego krokiem.

— Tak właśnie uczynię — odparł spokojnie Dick Leslie. — Dziś jeszcze wieczór wyjadę do Londynu i do Coves. Mam nadzieję, że uda mi się go oderwać od tego cmentarza...

— Niech pan to uczyni — szepnął Ranieri głęboko wzruszony — będzie to uczynek miłosierdzia. Ja teraz odjechać nie mogę — czekać tu muszę na wyrok mój...

Dick Leslie wstał z fotela, lecz nie wychodził jeszcze. Zdawało się, że ma jeszcze coś do powiedzenia i podczas kiedy Ranieri spoglądał na niego z lękiem, wyrzekł nagle ożywionym głosem:

— Przyniosłem panu jeszcze list trzeci.

— Prawda — przypomniał sobie Ranieri. — List Maryi Kabib do córki. Czy pan wie, co on zawiera?

— Nie wiem, panie hrabio. Miałem go tylko oddać panu i nic więcej. Nie wiem więc, co on zawiera, lecz zdaje mi się, że mogę panu dać jedną radę. Niech go pan odeszle natychmiast pannie Racheli.

— Czy pan sądzi, że list ten zaważyć może na losie moim? — zapytał żywo Lambertini.

— Powtarzam, że nie wiem, co jest w tym liście. Ale niech go pan odeszle, niech go pan odeszle jak najprędzej.

W chwilę później Dick Leslie pożegnał Ranieri'ego. Przed odejściem Ranieri raz jeszcze prosił detektywa, aby czuwał nad zdrowiem Roberta Alimeny, co tenże obiecał mu uczynić bezzwłocznie, gdyż jeszcze tego samego dnia, nie zatrzymując się nigdzie, pospieszył na wyspę Wight.

Ponieważ godzina była już późna, Ranieri nie mógł wysłać listu Maryi do Racheli. Nazajutrz, Róża uszczęśliwiona z możności zobaczenia siostry Gracyi, pobiegła wczesnym rankiem do klasztoru.

Jednakże i tym razem Rachela odmówiła widzenia się z Różą. Napróżno Ranieri przez ośm dni codziennie wysyłał starą służącą do klasztoru, żebrząc jakiej wiadomości, jakiego znaku. Ani razu Róży nie udało się ujrzeć Racheli. Stara powracała coraz bardziej smutna i zgnębiona i nie odpowiadając na gorączkowe pytania Ranieri'ego, rzucała się na fotel i wybuchała głośnym płaczem.

Ranieriego zaś ogarniała rozpacz i straszne zniechęcenie. Spędzając długie godziny w samotności w hotelu, skracał sobie czas odczytywaniem listów Roberta Alimeny i Markusa Hennera. Słowa tego ostatniego obudzały w nim tylko gniew i nienawiść szczerą. Potężna, żywiołowa namiętność Hennera przejmowała go wstrętem i grozą. Nawet po śmierci jego nie mógł znaleźć w sobie ani iskry politowania i współczucia dla człowieka, który z przyczyny właśnie tej nienaturalnej, niezdrowej miłości stał się przyczyną tylu nieszczęść i rozpaczy.

Dziewiątego dnia, kiedy zbolała dusza młodego człowieka przeszła już przez wszystkie formy tragicznego smutku i tęsknoty i nie widział już nic przed sobą prócz śmierci — ktoś zapukał do jego drzwi.

Nie wstając z fotelu, gdzie siedział obezwładniony przygnębieniem najwyższem, zawołał machinalnie:

— Proszę wejść!

Ktoś wszedł cichym krokiem i zatrzymał się u progu.

Była to Rachela Kabib, piękniejsza jeszcze, młodsza, z oczami błyszczącemi miłością i uśmiechem na ustach.

Wyciągnęła obydwie dłonie ku Ranieriemu i wyrzekła z prostotą:

— Matka moja kazała mi wrócić do ciebie i kochać cię wiecznie aż do śmierci. Jestem więc i odtąd nic mnie z tobą już nie rozłączy!

KONIEC.

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

1)

Droga Ojczyzno moja.
Cudowny Ty mój raju.
Czem jesteś? Co się stało z Tobą?
Obym Cię był nie widział tak pięknej niegdyś lub nie widział tak spustoszałej teraz.
Obym Cię był nie widział tak zniszczonej lub miał nadzieję, że zakwitniesz kiedy!
Droga Ojczyzno moja!
Cudowny Ty mój raju...

* * *

Drży pióro w ręku, ściska się serce, płakałbym.

Płakać będziecie i wy, czytając te słowa, jak ja płakałem, kiedym je pisał.

Będziecie szczęśliwi, jeśli uwierzycie, że ta gorycz nie jest prawdą, tylko utworem poety, który w przykrych chwilach spisuje okropne obrazy swych marzeń gorączkowych.

Obym i ja mógł uwierzyć, że to wszystko tylko marzenie, że wspomnienia które mi krwawe przedstawiają postacie, są skutkiem ciężkiej słabości. Obym i ja mógł uwierzyć, że tyle nieszczęść, tyle cierpień — to widzenie zbolałej mej duszy, a te krwawe znękane postacie to nieistniejące utwory wyobraźni.

Obym nie widział był tych miejsc, o których mówię — obym był nie znał ich mieszkańców.

Obym mógł powiedzieć: nie wierzcie, nie przerażajcie się tem, wszak to sen tylko, obudzimy się i nie ujrzymy go więcej.

* * *

Jesteśmy daleko w górach Siedmiogrodzkich. Prześliczna okolica! Ze szczytów gór w piękny dzień rozciąga się widok aż do Rézalja we Węgrzech. Złączone góry zdają się wstępować jedna na drugą, pokryte gęstym lasem, który dopiero teraz zaczyna się zielenić. Nad wieczorem spływają dalekie szczyty w kolor liliowy tylko krańce ich w złotawej odbijają barwie.

W dali pod wykarczowaną górą bieleje dwór, wzniesiony w miejscu, z którego najpiękniejszy roztacza się widok, przed nim w oddali ogromna skała z krzyżem na szczycie. W kotlinie widać wioskę, której dzwonek wieczorny tak cudownemi dźwięki w jeden z naturą spływa akord.

Jeszcze dalej pod lasem widać odartą chatę, a huk z niej się wydobywający i tuż obok płynący brudno-żółty strumyk pozwala się domyślać, że to kuźnia.

Jeszcze dalej w lesie, słychać wśród ciszy podwójne uderzenie młotów, a rozpostarta w ciemnej nocy czerwona łuna, wskazuje nam miejsce huty żelaznej.

Na dnie doliny, tworząc co sto kroków wodospady, pienią się srebrzyste fale wijącej się rzeki, która w miejscach, gdzie się w czasie topienia śniegów podnosi, zarzuciła całą okolicę kamieniami, zniesionemi z gór.

Z wioski wije się zygzakiem w górę droga dworu, a dalej, między dwoma szczytami, wiedzie stroma, przez spadek wody wyżłobiona drożyna do jakiejś dalszej miejscowości.

Sam dwór tworzy ze smakiem wybudowany pałacyk z zielonemi żaluzyami. Miejsce, na którem stoi, zasadzone olbrzymimi kasztanami, podwórze ozdobione dziwno-kształtnemi grządkami, pełnemi kwiatów, wczesnych hyacentów, anemonów, a przez okno, otwarte dla wiosennego powietrza, wygląda od czasu do czasu wesoła główka dziecinna.

Cały dwór okolony gęstemi żelaznemi sztachetami, po których wije się bluszcz ze swemi wiecznie zielonemi liśćmi.

Na początku wiosny 1848 roku trzynaście osób siedziało przy stole w sali jadalnej tego dworu.

Wszyscy należą do jednej familii. Wszyscy noszą imię Bardy.

Na przodzie w białym czepeczku siedzi siwa staruszka Antoniowa Bardy, licząca wyżej ośmdziesięciu lat, jej włosy dziwnie zaczesane, białe jak mleko. Twarz bez życia, blada, zmarszczona, oczy zapadłe, zgarbiona postać, a oczy zwrócone ciągle na ziemię, jak u ludzi, którzy już nic nie widzą, ręce się trzęsą, a głos drży, tem więcej w dużych, białych brwiach tkwi coś szczególnie zachwycającego.

Obok niej po prawej stronie siedzi jej najstarszy syn Tomasz Bardy, mężczyzna w wieku między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem. Dumna twarz o zmarszczonem czole, włos gęsty, ledwie przyprószony siwizną, broda czarna, oczy przenikające bystrym wzrokiem, postać wysoka, prosta, dumna. Żywy typ średniowiecznych arystokratycznych postaci.

Naprzeciw niego siedzi faworyta rodziny Joanna, skromne piętnastoletnie dziewczę anielskiej piękności. Duże błękitne jej oczy, przysłonięte długiemi, jedwabnemi rzęsami, jasne oblicze przeźroczysto białe, zabarwiające się tylko podczas uśmiechu, jasno-blond włos gęsty, delikatny jak jedwab. Dziewczynka ta nie należy właściwie do familii, jest to sierota po bardzo dalekiej krewnej, którą rodzina Bardy przyjęła do siebie, nie mogąc dozwolić, aby właścicielka tego samego co oni imienia, żyła w niedostatku. Właśnie dlatego stała się ulubienicą całej familii, bo od wyświadczenia jej dobrodziejstw nie mógł się usunąć żaden członek familii, ale owszem uważał to każdy za atrybut należny sierocie.

Tylko dwie kobiety było jeszcze we familii. Jedna wdowa, Katarzyna, córka głowy rodziny, od kilku lat odziana żałobą, druga młoda mężatka, żona najmłodszego syna pana Tomasza. Obok niej siedzieli w małem poręczowem krześle malutki chłopiec, trzymając w tłuściuchnej rączce srebrną łyżeczkę, którą wywija i hałasuje ustawicznie. Dopiero uczy się jeść i mówić. Cała rodzina odgaduje co mówi i co lubi najlepiej.

Dalej siedzi dwóch mężczyzn, jeden z nich to mąż młodej matki. Piękna regularna twarz z czarnym wąsem tchnie szczęściem, ciągle uśmiechnięty, rzuca drobne gałki to na syna, to na żonę...

Ów podsadkowaty, barczysty mężczyzna, ze śladami ospy na twarzy, to brat pierwszego, Barnabasz, znany z olbrzymiej siły, zachmurzony, małomówny, ogromne swe ręce położył na stole; włos jego po chłopsku w tył zaczesany, wskutek ospy nie nosi ani wąsów, ani brody, ramiona szerokie jak u Herkulesa, zresztą co chwila widać staranie się jego, aby odrażającą swą postać osłonić uprzedzającą dobrocią.

Obok niego siedzi małe, skarłowaciałe dziecię. Blada, znękana twarz tego dziecięcia ma wyraz łagodności, tak zwykłej u tego rodzaju ludzi. Rzadki włos, kościste ręce i wykrzywione ramię jego wzbudzają politowanie. To wnuk tej staruszki, którego już dawno odumarli rodzice.

Po drugiej stronie siedzi dwoje jednakowo ubranych dzieci, mających najwięcej pięć lat, a tak do siebie podobnych, że można je co chwila pomieniać. To bliźnięta i dzieci tych młodych małżonków.

Przy drugim końcu stołu siedzi dwudziestoletni młodzieniec. Znamionuje go przystojna, pełna życia twarz, wysmukła postać, przyjemne obejście się, broda, dopiero co wykluwający się wąsik i gęste, w naturalnych kędziorach spływające włosy. Jest on jedynakiem znajdującego się na przodzie naczelnika rodziny.

Obok niego przy samym końcu siedzi starzec. Białe posiwiałe jego włosy, a twarz zakwitła w pąs od wina. Spokrewniony w pierwszej linii z głową rodziny, tu się postarzał z nim razem Szymon Bardy. Na twarzy każdego z członków rodziny Bardy widać ten sam rys familijny, wysokie czoła, wielkie, ciemne, wymowne niebieskie oczy pod gęstemi brwiami.

* * *

Trzynaście osób siedziało koło stołu.

— Dziwna rzecz — rzekł ktoś z rodziny — jest nas tu trzynaścioro.

Małe niemowlę dopiero pierwszy raz posadzono do stołu.

— Ktoś z nas umrze — rzekła staruszka drżącym, znękamym głosem, w którym się przebijało silne, poważne przekonanie.

— Oh, niema nas tyle — odezwała się żywo młoda kobieta — tylko półtrzynasta, wszak tego malca i na kolei biorą za połowę. I przytuliła dziecię do piersi.

Zaśmiało się kilku na ten dowcip. Mąż jej śmiał się aż do łez, śmiały się bliźnięta, na twarzy jasnej dziewczynki ukazał się rumieniec, Herkules śmiał się całą gębą, młodzieniec na końcu stołu uśmiechnął się szyderczo z zabobonu, a nawet na twarzy kaleki ukazał się jakiś spóźniony, skrzywiony uśmiech...

Żeby im wtedy był kto powiedział:

„Dziś trzynaścioro was przy stole. Wiosna teraz i dopiero zaczynają się zielenić drzewa. Kiedy ostatnie liście spadną z tych drzew, z was trzynastu nie będzie żył ani jeden".

Żeby to im był kto powiedział wtedy.

* * *

Liście z drzew zaczęły opadać.

W jednej z komnat pałacu Bardy widzimy owego słusznego arystokratę ze synem, owym dwudziestoletnim młodzieńcem.

Ojciec gwałtownie przechadza się po komnacie, syn stoi w oknie w mundurze wojskowym. Siwy dolman z czerwonymi sznurami, czerwone czako z trójkolorową kitą trzyma w rękach, przy boku błyszcząca stalowa szabla. Takim był uniform huzarów Macieja.

Syn przybył pożegnać się z ojcem, nim stanie do walki. Wbrew woli ojca wstąpił w Klausenburgu do ochotniczej jazdy, ojciec żywo chodzi po pokoju.

— Idź — czemprędzej, żebym cię nie widział — ozwał się przerywanym głosem do stojącego syna. — Nie myśl, że się gniewam, boję się o ciebie, myśląc o tobie, tracę zmysły. Jesteś moim jedynakiem. Możesz wiedzieć, ile nadziei przywiązywałem do ciebie, wiesz, jak cię kocham. Ale ujrzawszy łzy w moich oczach, nie myśl, że one za tobą zjawiły się na tej twarzy, która nie płakała nigdy. Bo gdybym wiedział, że to największym będzie dla mnie ciosem, że ty zginiesz, rzekłbym, pochylając głowę: „Bóg dał, Bóg wziął, niech imię jego będzie pochwalonem". Gdybym wiedział, że ty i szaleni twoi towarzysze zostaniecie roztratowanymi, stłumiłbym łzę, zjawiającą się na ugaszenie ognia płonących oczu, ale krew wasza będzie przekleństwem tej ziemi, na którą się wyleje! Śmierć wasza będzie śmiercią dwóch krajów*).

— Umrą i odrodzą się znowu.

— Kłamstwo. Łudzicie się sami, że odbudujecie, niszcząc dawne. Świętokradzcy, kto was upoważnił kusić Boga losem ojczyzny? Kto wam kazał odrzucić to, co posiadacie, w zamianę za to, czego się dopiero spodziewacie. Czyż bez przyczyny walczyło tyle uczciwych i śmiałych ludzi przez setki lat o ten stary, upadający budynek? czyż nie byli oni dobrymi synami ojczyzny, nie byli śmiałymi, walecznymi ludźmi? Czy towarzysze twoi, wygwizdując na sejmie troskliwego patryotę, lepiej kochają może ojczyznę, niż my, którzy z pokolenia w pokolenie ofiarowaliśmy jej krew i majątek nasz, a nawet jeśli trzeba było, znosiliśmy hańbę, byle utrzymać ją przy życiu. Chorował w naszych rękach naród, ale żył, wy obiecujecie mu sławę, lecz imię tej sławy: „śmierć".

— Być może. Dla siebie możemy stracić ojczyznę, lecz natomiast damy ją ludności dziesięciomilionowej, narodowi, który dotychczas był naszym, a przecież cudzym na ziemi ojczystej.

— Marzenie. Lud ten nie pojmuje was i to nie może być inaczej. Nie śniło mu się nigdy o tem, czem wy go chcecie obdarować. Po wytrwałości dobrobyt jest tem, czego ludowi potrzeba. Zapytaj pierwszego z moich poddanych, czy między nimi jest choć jeden, któregobym zostawił o głodzie, lub dał zmarnieć jego familii, któremubym nie dopomagał w potrzebie, lub był niesprawiedliwym? Nie usłyszysz ani jednej skargi. Wtedy powiedz, że nieprawnie z nim postępuję, bo go nie wzywam od pługa i nie pytam o zdanie w sprawach ustawodawstwa, konstytucyi i administracyi. Będzie się patrzeć na ciebie ze zdziwieniem, ale być może, że jednej nocy napadnie mię ze złością i zapali mi dach nad głową.

— Przewrotność naszego wieku jest tego przyczyną. Że lud nie przychodzi do pojęcia wyższych myśli, to temu i błędy zeszłych wieków winny. Niech tylko lud będzie wolnym, niech się stanie człowiekiem jak inny, wtedy zrozumie te myśli, których dziś pojąć nie może.

— Lecz ta wolność pozbawi sto tysięcy ludzi życia.

*) Odnosi się to do powstania węgierskiego 1848 roku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Posłaniec odszedł. Ranne godziny wlokły się pomału. Dwunasta nadeszła, lecz posłaniec nie wracał. Mrs. Armine kazała podać lunch do pokoju, lecz ledwo się go dotknęła. Kazała podać bardzo mocnej kawy. Piła drugą filiżankę, kiedy ktoś zastukał do drzwi i posłaniec się ukazał.

— I cóż? — zapytała.

Spojrzał na nią, jakby jej głos go zdziwił.

— Ten pan nie wrócił, ma'am.

— Kiedy wróci?

— Nie wiem, ma'am.

— Czy jest w Kairze?

— Nie wiem, ma'am.

— A więc co wiesz? jaka korzyść z ciebie? Po co tu jesteś? Wracaj natychmiast i dowiedz się, czy ten pan jest w Kairze, czy nie?

Posłaniec wyszedł z pośpiechem.

Mrs. Armine drżała. Miała ochotę rzucić się na tego człowieka, bić go za jego głupotę. Ogień ją palił. Godzina upłynęła i znowu usłyszała pukanie. Posłaniec wszedł mówiąc:

— Ten pan był w Kairze zeszłej nocy, ma'am.

— Chcę wiedzieć, czy jest w Kairze teraz? — zawołała gniewnie.

— Nie wiedzą tego.

— Nie wiedzą! Powinni wiedzieć!

— Nie wiedzą, ma'am.

— Mówię, że powinni wiedzieć.

— Ale nie wiedzą, ma'am.

Zerwała się. Co chciała uczynić, sama nie wiedziała, lecz spojrzawszy na posłańca, wyraz, w jego oczach przywołał ją do rozsądku. Nie mówiąc już słowa dała mu pieniądz i odwróciła się. Kiedy drzwi się zamknęły nie panowała już nad sobą, aż nagle wspomniała na swą zmienioną twarz.

Weszła do sypialni i w pół godziny później wyszła w stroju spacerowym. Postanowiła udać się sama do domu Barondi'ego. Po tylu miesiącach niewolniczego posłuszeństwa i strachu obudziło się w niej jakieś uczucie namiętnej stanowczości, nie dbającej o następstwa. Wsiadła do powozu i pojechała. Dom Barondi'ego stał blisko Nilu na wyspie Gezira. Wysoki mur otaczał ogród. Brama z lanego żelaza była zamknięta. Woźnica zatrzymał konie. Wewnątrz z domku odźwiernego wyszedł wysoki arab. Mrs. Armine szybko wysiadła z powozu i stanęła patrząc przez kraty bramy.

— Czy Mahmud Barondi jest w Kairze? — zapytała po francusku.

Arab odpowiedział coś w swoim języku.

— Czy Barondi Effendi jest w Kairze — rzekła po angielsku.

— Tak, zdaje mi się — odrzekł arab wymawiając zwolna wyrazy.

— W mieście?

— Przypuszczam.

Wyjęła portmonetkę i wsunęła mu trochę pieniędzy do ręki.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— Kiedy wróci do domu?

— Nie wiem.

Miała ochotę krzyczeć.

— Czy wróci na noc?

— Nie wiem, czasem zostaje na noc w Kairze.

— Lecz nie wyjechał? Jest w Kairze?

— Przypuszczam.

Stali chwilę patrząc na siebie przez kratę bramy. Oczy araba były bez wyrazu, wyglądał zaspany. Mrs. Armine odwróciła się i wsiadła do powozu.

— Wracaj do hotelu.

Woźnica machnął batem. Konie ruszyły. Stanąwszy w hotelu postanowiła spędzić całe popołudnie na tarasie. Może Barondi przyjdzie. To nie było nieprawdopodobnem. Słyszała, że można spotkać prawie wszystkich u Shephearda w popołudniowych godzinach. Siadła przy stoliku pod balustradą. Kupiła dzienniki i udawała, że czyta, lecz ciągle patrzała i patrzała na ludzi, którzy wchodzili wychodzili, lub przejeżdżali ludną ulicą. Kazała sobie podać herbatę. Piła powoli. Głowa ją bolała. Oczy miała zmęczone od ciągłego wypatrywania. Lecz nie przestała zwracać bacznej uwagi aż wieczór zaczął zapadać i gong oznajmił, że za pół godziny będzie obiad. Co mogła więcej uczynić? Machinalnie zaczęła zbierać dzienniki. Taras był prawie pusty. Miała już wyjść, kiedy dwóch mężczyzn, jeden anglik, drugi amerykanin weszli po schodach i siedli przy sąsiednim stoliku. Jednym z nich był Starnworth, którego nie znała i o którym nigdy nie słyszała. Kazał podać przekąskę i zaczął żywo rozmawiać ze swym towarzyszem. Mówili o Kairze. Mrs. Armine siedziała i słuchała. Starnworth zaczął opisywać tubylcze przedmieścia, mówił właśnie o palarni haszyszu, w której był z Isaacsonem. Mrs. Armine usłyszała nazwę ulicy, przy której się znajdowała Bab el Metcira. Wspomniał, że jest uczęszczaną przez bogatych Egipcyanów i wymienił Barondi'ego. Zaraz potem wstali i weszli do hotelu.

Tego wieczora ciemno ubrana i starannie zawoalona, Mrs. Armine w towarzystwie przewodnika zwiedziła dziwne miejscowości miasta i pozostawiała długo, długo pod zadymionym dachem kawiarni, gdzie palono haszysz. Była wyczerpana, a jednak czuła się gorączkowo podnieconą. Piła kawę, filiżankę za filiżanką. Przypatrywała się marzącym palaczom, marzącym tancerzom i zdawało się jej, że żyje w śnie, oderwana od ziemi i wszystkich rzeczy, które do tej pory znała.

Lecz Barondi nie przychodził. Wreszcie wróciła przez dzielnicę tancerek, gdzie jej poczucie życia we śnie jeszcze się wzmogło.

I znowu tej nocy nie spała.

Kiedy dzień nastał uczuła się naprawdę chora. Gorączka ją trawiła. Zaraz po śniadaniu, którego się ledwie dotknęła, znowu wsiadła do powozu i pojechała do domu Barondi'ego.

Senny arab spotkał ją przy bramie. Prawie drżącym głosem zadała pytanie.

— Wyjechał — brzmiała odpowiedź.

— Wyjechał? Dokąd?

— Do Luksoru. On wsiąść tam na dahabijeh.

— Wyjechał do Luksoru! Kiedy?

— Dowiedzieliśmy się wczoraj wieczorem.

— Czy otrzymał list, który przysłałam wczoraj rano?

Arab wstrząsnął głową.

— Nie był tutaj wcale.

Mrs. Armine wysłała telegram i wzięła bilet z powrotem do Luksoru.

Przyjechała rano około dziewiątej i znowu miała noc bezsenną. Przyjeżdżając koło Winter-Palace-Hotel ujrzała człowieka chodzącego samotnie po tarasie i ku wielkiemu swemu zdziwieniu poznała w nim Meyera Isaacsona. Zobaczył ją... była tego pewną... ale natychmiast odwrócił oczy i nie uchylił kapelusza. Ukłoniła się mu czy nie? Nie wiedziała. Lecz w każdym razie zachowanie się jego było dziwne. Nie mogła zrozumieć dlaczego jest w hotelu. Czy coś się stało w willi? Zanim zdążyła nad tem się zastanowić, konie zatrzymały się przed bramą.

Spodziewała się, że Ibrahim wyjdzie na jej spotkanie na stacyę. Lecz nie przybył. Nie on, ale ogrodnik otworzył bramę. Skinęła mu głową, spiesznie przeszła przez ogród i weszła do domu.

— Nigel — zawołała — Nigel!

Usłyszała wolny chód i zobaczyła swego męża idącego naprzeciw niej do salonu. Uderzyło ją, że wygląda bardzo źle.

— A więc Ruby, powróciłaś — rzekł.

Wyciągnął rękę. Wpadnięte jego oczy patrzyły na nią z dziwnym wyrazem, jakby udręczenia.

— Tak — rzekła. — Śpieszyłam się. Nie mogłam wytrzymać w Kairze. Upał nie do zniesienia. Było mi tam źle.

Stali w hall'u.

— Wyglądasz okropnie zmęczona — rzekł — okropnie.

Trzymał ją ciągle za rękę.

Wargi jej drżały.

— Doprawdy? To skutkiem dwóch nocy w podróży. Nie spałam wcale.

— A pokojowa? Umówiłaś jaką?

— Nie, ale to nic nie znaczy?

— Muszę usiąść — dodała — ledwo się trzymam na nogach.

Rzeczywiście miała wrażenie, że siły fizyczne ją opuszczają. Nogi się uginały.

— Chodź do salonu. Trzeba żebyś zjadła śniadanie.

Puścił jej rękę. Weszli do salonu i rzuciła się na kanapę. Szedł za nią.

— Oh! — zawołała.

Oparła się o poduszki i zamknęła oczy. Myślała ustawicznie: — Barondi jest tutaj! Barondi jest tutaj! A ja nie mogę iść do niego. Nie mogę iść... Nie mogę iść...

Zdawało jej się, że widzi jego wspaniałą szyję, jego czarne brwi nad wielkiemi, śmiałemi oczami, jego duże, muskularne ręce, jego szeroką pierś atlety.

Słyszała, jak Nigel usiadł przy niej.

— Dlaczego Ibrahim nie wyszedł na stacyę? — rzekła otwierając z wysiłkiem oczy.

— Przypuszczam, że był zajęty — odparł Nigel nieswoim głosem.

— Zajęty?

— Tak. Przyniesie śniadanie.

A więc był w domu. Doznała wrażenia lekkiej ulgi, sama nie wiedziała dlaczego.

Drzwi się otworzyły i wszedł Ibrahim niosąc ostrożnie tacę.

— Dzień dobry pani, my lady — rzekł.

— Dzień dobry, Ibrahim.

Postawił tacę, stał chwilę, jakby jej się przypatrując i wyszedł.

— Będzie ci lepiej, jak zjesz śniadanie.

— Powinnabym pierwej się wykąpać. Ale nie mogłabym czekać tak długo.

Usiadła przy stoliku i nalała mocnej herbaty. Czyniąc to, rzuciła spojrzenie na swego męża i znowu zauważyła jak źle wygląda. Lecz nie wspomniała o tem.

— Ah! — rzekła — przejeżdżając koło Winter-Palace zobaczyłam doktora Isaacsona na tarasie.

— Zobaczyłaś go?

— Tak. Po co tam poszedł o tej porze.

— Przypuszczam, że tam mieszka.

— Mieszka! doktór Isaacson! zawołała patrząc na Nigla.

— Tak przypuszczam.

— Ale — czy to znaczy, że nas opuścił?

— Tak. Wczoraj wieczorem.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Dlaczego?... no tak, mieliśmy dysputę. Skończyła się nieprzyjemnie i opuścił nasz dom.

— Poróżniliście się?

— Tak, zdaje mi się, że to się tak nazywa.

Pomimo wyczerpania, fizycznego zmęczenia i moralnej rozsterki, Mrs. Armine doznała gwałtownego uczucia... radości.

Napiła się znowu herbaty i zaczęła jeść. Po raz pierwszy od kilku dni miała apetyt. Obawa jej znikła. Przypomniała sobie, jak Nigel ściskał jej rękę w hall'u.

— Ale... dlaczegoście się poróżnili — rzekła wreszcie.

— Oh, mieliśmy dysputę... — zatrzymał się.

— Wiem, wiem! — zawołała. — Uczyniłeś o co cię prosiłam. Powiedziałeś, że się czujesz dość silnym, ażeby doktór Isaacson wrócił do Londynu.

— Tak, powiedziałem to.

— I pytałeś się wiele mu jesteśmy winni?

— Tak.

— I on się rozgniewał?

— Mówiłem o tem, i... Ruby, wiele jesteśmy mu winni?... Muszę posłać mu czek... Muszę..., jeszcze dzisiaj.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zaśpiewa dużo teraz, kiedyście się poróżnili.

— Myślę... jestem pewny, że go teraz krzywdzisz — rzekł zwolna Nigel.

— Tak myślisz? Ale muszę iść na górę i wziąć kąpiel. Zabawię dobrą chwilę.

— Pozwól mi pójść i siąść przy tobie, dobrze? To jest za jakiś czas.

— Nie teraz. Lepiej weź się do obliczania wiele jesteś winien doktorowi Isaacsonowi.

Śpieszyła się z wyjściem. Jak tylko znalazła się w swoim pokoju zamknęła drzwi na klucz, wyszła na balkon i spojrzała po przez rzekę na Lonlię. Zobaczyła powiewającą egipską chorągiew. Czy Barondi znajdował się na łodzi? Musiała się o tem przekonać i to jak najprędzej. Zadzwoniła i otworzyła drzwi.

— Ibrahim! — rzekła do wchodzącego Nubijczyka.

Cofnął się i po chwili ukazał się Ibrahim.

— Ibrahim! — rzekła prawie szeptem — czy Barondi jest na Lonlii?

— Tak, my lady.

Z trudnością wstrzymała okrzyk.

— Jest? Ibrahim.., — w swem podnieceniu wzięła go za ramię i mocno trzymała... — dzisiaj wieczorem, jak tylko obiad się skończy, miej przygotowaną felukę przy ogrodzie. Rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Żałujemy bardzo, że rozpoczynając jedną z poprzednich kronik, użyliśmy łacińskiego przysłowia: „*Difficile est satiram non scribere*“, gdyż nadawałoby się ono raczej do tegotygodniowej. Poprostu wierzyć się nie chce, że w państwie, mającem pretensye należenia do większych w Europie, może się dziać coś podobnego, jak u nas. Mamy tu na myśli w szczególności Polską Krajową Kasę Pożyczkową, zatem instytucyę finansową o pierwszorzędnem dla państwa znaczeniu. Wierzyć się nie chce, gdy się słyszy i czyta o stosunkach, jakie tam panują, a nie są to wymysły, wyssane z palca, lecz wiadomości oparte na źródłach urzędowych, w danym wypadku na faktach, stwierdzonych śledztwem policyjnem oraz interpelacyą posła Głąbińskiego, wniesioną w Sejmie.

Jak już powszechnie wiadomo, wykryto przed niedawnym czasem w Warszawie niekoncesyonowaną fabrykę oryginalnych tysiącmarkówek, prowadzoną kilka miesięcy przez „fachowców“. Dziwić się należy, że nazywamy ich fałszerzami, skoro posługiwali się oryginalnemi kliszami do druku, takiemiż farbami, papierem i innymi przedmiotami, służącymi do sporządzania biletów bankowych, bardziej jednak podziwu godnym jest zupełny brak kontroli, której zaniechano w zupełności przy tak ważnym procederze, jak drukowanie pieniędzy. Gdzieindziej na świecie sporządzanie ich odbywa się pod ciągłym dozorem czynników urzędowych, maszyny drukarskie pieczętuje się na noc, klisze i inne materyały przechowuje się pod kluczem w ogniotrwałych kasach. Gdyby przypadkiem udało się komuś ukraść kliszę lub inny z przedmiotów, z pewnością nie tylko tego samego jeszcze dnia, ale w tej samej godzinie zawiadomionoby o tem władze bezpieczeństwa, by przeszkodzić fałszerstwu, narażającemu na szkodę skarb państwowy, a zatem i cały ogół. Tak stałoby się z pewnością w każdem państwie, nawet trzeciorzędnem, ale nie w Polsce, specyalnie zaś we Warszawie.

Fabrykacya naszych pieniędzy odbywała się tamże w firmie Wierzbickiego aż do lutego b. r. Nieszczęście chciało, że w grudniu ubiegłego roku skradziono tam oryginalne klisze cynkowe, używane do tłoczenia pieniędzy, w dalszym zaś ciągu papier, farby i numeratory, zatem wszystko, co jest potrzebne do druku. O kradzieży zawiadomiono Polską Krajową Kasę Pożyczkową *już* w lutym następnego roku, widocznie jednak kierownictwo jej nie przywiązywało do tego zdarzenia zbytniej wagi, skoro zupełnie spokojnie przeszło nad nią do porządku dziennego. Złodziejowi nie należy się dziwić, że zabrał klisze, skoro, jak stwierdzono, miejscem ich pomieszczenia było okno, na którem wszystkim w oko wpadały. Pomyślał sobie zatem, że szkoda, aby tutaj leżały bez pożytku, skoro mogą się jeszcze na coś przydać, w dalszym zaś ciągu postarał się o papier, farby i t. d., do których dostęp był już nieco trudniejszy.

I rozpoczęła się w okolicach Warszawy fabrykacya pieniędzy na własną rękę, aby w ten sposób przyjść z pomocą stale kulejącemu skarbowi państwowemu i, kto wie, jak długo byłaby ta „obywatelska“ praca trwała, gdyby nie pech, prześladujący widocznie fabrykantów. Zdołano wydrukować zaledwie około dwadzieścia milionów marek do chwili, gdy władze nasze, zawsze bardzo czujne, zamknęły ją, jako nie posiadającą urzędowego uprawnienia, czyli tak zwanej po naszemu „karty przemysłowej“ na prowadzenie przedsiębiorstwa.

To wkroczenie władz, z widoczną szkodą dla naszego budzącego się dopiero do życia przemysłu, było następstwem przypadku. Oto w czerwcu b. r. zauważyło kierownictwo P. K. K. P., że do kas państwowych wpływają banknoty, oznaczone numerem takiej seryi, która jeszcze światła dziennego nie ujrzała i wtedy przypomniano sobie o zawiadomieniu z lutego, że w grudniu dokonano kradzieży klisz. Zawiadomiono zatem władze bezpieczeństwa, zorganizowane u nas na sposób angielski, urzędujące zatem z angielską flegmą, a te wdrożyły energiczne dochodzenia, których następstwem było ujęcie w październiku bandy fałszerzy, którzy ani przypuszczali, że niebezpieczeństwo jest tak bliskie. Dostali się oni w ręce karzącej sprawiedliwości dzięki znowu przypadkowi i staraniom policyi z Będzina. Spółkę z urzędu rozwiązano, wspólników zaś, pozbawionych obecnie dochodu, wzięto na rządowe utrzymanie, aby się im bodaj w ten sposób wywdzięczyć, iż mając czas do podrobienia kilkuset milionów marek, puścili ich w obieg zaledwie dwadzieścia.

„Żelazna miotła“ ministra Michalskiego powinna zatem puszczoną być w ruch przedewszystkiem celem oczyszczenia tak lekceważącej swe obowiązki instytucyi, jaką okazała się P. K. K. P.. Samo wymiecenie śmieci nie wystarczy, należałoby im dopomódz do „ewakuacyi“ drewnianą rękojeścią miotły.

Nieszczęście lubi chodzić w parze. Z powodu wykrycia owego podrabiania pieniędzy, posypały się zarzuty pod adresem P. K. K. P., a jej funkcyonaryusze, zwłaszcza ci, którzy stoją na czele, ruszyli tylko ramionami, pytając się wzajemnie, czego świat chce od nich, skoro oni o tem nic nie wiedzieli. A tu, jak gdyby na domiar złego, występuje poseł Głąbiński, poddając krytyce stosunki, panujące w naszej najważniejszej instytucyi finansowej, gdzie jak stwierdzono przy okazyi kontroli, od półtora roku zalegają niezrealizowane dotąd przekazy amerykańskie, o których nadejściu nie miano dotąd czasu zawiadomić adresatów oraz nie rozpakowane dotąd przesyłki z darami złota i srebra na rzecz skarbu państwowego.

Czy do instytucyi, wykonującej w ten sposób swój obowiązek, można mieć zaufanie?... Odpowiedź na to dały drowi Głąbińskiemu lwowskie panie oświadczając gotowość dalszej zbiórki szlachetnych kruszców, ale zastrzegając się, że dopiero wówczas, gdy będą miały pewność, że dojdą one na miejsce swego przeznaczenia i będą użyte na właściwy cel.

Przypomina się mimowoli, patrząc na to co się dzieje, mała Kasa zaliczkowa gdzieś na prowincyi, gdzie podania o pożyczki wręcza się dyrektorowi na ulicy, a wypłatę przyznanych uskutecznia tenże w knajpce, w której urzęduje codziennie dla wygody stron, by im oszczędzić niepotrzebnej fatygi, a przy tej sposobności łyknąć coś w nagrodę za załatwienie. Co jednak Kasa zaliczkowa na prowincyi zapadłej, to nie najważniejsza instytucya finansowa w kraju, mająca być wzorem dla wszystkich, zwłaszcza, że zajęcie w niej nie jest tylko ubocznem dla jej funkcyonaryuszy, jak to ma miejsce w tamtej, lecz powinno być jedynem i wyłącznem, któremu obowiązani są poświęcić cały zapas swego czasu i energii, jeśli tego zaś nie czynią, zasługują w zupełności na zetknięcie się bezpośrednio z obu końcami miotły ministra Michalskiego.

Niechaj jednak kto nie sądzi, że wszystkie nasze urzędy pracują tak opieszale, jak powyższy przykład wskazuje, niektóre bowiem grzeszą nadmiarem energii. Spotkaliśmy się z tem przed niedawnym czasem w Krakowie, a odbił się on boleśnie na naszych kieszeniach, co jednak nie wyklucza, że byli ludzie, którzy bynajmniej na to nie narzekali i do dnia dzisiejszego nie narzekają. Oto małopolskie władze skarbowe wymierzyły nowy podatek od spirytusu i zaczęły go nawet już ściągać, co pociągnęło za sobą gwałtowne podrożenie wódki. Tymczasem pokazało się, że rozporządzenie to stosuje się jedynie do byłej Kongresówki, gdzie dotąd obowiązuje pozostały w spadku po rządzie rosyjskim monopol spirytusowy. Władze skarbowe przyznały się do pomyłki i zarządzenie swe cofnęły, co jednak nie wpłynęło na szynkarzy do cofnięcia podwyżek cen. Na zapytanie tłómaczyli się, że niezawodnie w krótkim czasie i u nas zostanie ten podatek zaprowadzony, nie opłaci się im więc zniżać znowu ceny, by je za jaki tydzień lub dwa podnieść, gdyż im to psuje uczciwą kalkulacyę kupiecką. Jest to postępowanie bardzo racyonalne i praktyczne, opierające się na zasadzie, że od przybytku głowa nie boli, a tem bardziej kieszeń, mogąca jedynie w tym wypadku braną być w rachubę. To tylko szkoda, że jeśli u nas ów nowy podatek zostanie w samej rzeczy zaprowadzony, szynkarze z pewnością zapomną o tem iż go już *anticipando* uwzględnili i wódeczka podrożeje znowu w odpowiedni sposób. A już dziś ceny jej doszły do tej wysokości, że na uraczenie się kieliszkiem „silnej z mocną“ lub „giąbikowej w kratkę“ może sobie pozwolić jedynie żyjący z pracy rąk, głowa bowiem takich dochodów nie daje.

Myślałby kto może, że podrożenie spirytusu wpłynie na zmniejszanie jego zapotrzebowania, tak jednak nie jest. W knajpkach wszelkiej kategoryi ruch coraz większy, gościnne podwoje otwarły nawet te, które zamknięte były przez czas wojny. I dlatego nie miał racyi jeden z członków czynnych „Bateryi“, który onegdaj „dał sobie na piec“ z radości, że zasady, którym przysiągł wiernie służyć do samej śmierci, mają z powodu drożyzny spirytusu zapewnione powodzenie.

Niech kto nie posądzi kronikarza o przesadę. Wojna, która zmieniła nasze stosunki, nie pozostała bez wpływu i na abstynentów, którzy z resztą i przedtem nie czuli wstrętu do wszelakiego szkła, tem się jednak różnili od reszty ogółu, że gdy ten lubi łyknąć w oczach wszystkich, oni robią to samo, lecz w czterech ścianach swego mieszkania, jak się to mówi popularnie „do pajączka“. Jest to bardzo mądre, po pierwsze bowiem taki abstynent cieszy się bardzo dobrą opinią, jako wzór trzeźwości i stawianym bywa innym za przykład, po drugie zaś chroni go to od niepotrzebnych wydatków, gdyż innym nie potrzebuje fundować. Nasi kupcy są bardzo dobrymi fizyognomistami i na pierwszy rzut oka potrafią rozpoznać takiego pana, który wpada do sklepu jak po ogień, kupuje flachę wódy, nie targuje się, ale płaci ile kazano i zmyka jeszcze prędzej, by ktoś przypadkiem nie spostrzegł, co za zdobycz niesie ze sobą. Zdarza się też nieraz, że w pośpiechu policzą mu o jakieś kilkadziesiąt marek więcej, ale on przeciw temu nie oponuje.

Wszelakie utrudnienia przy sprzedaży alkoholu mijają się z celem, działają nawet pod pewnym względem podniecająco. Przekonała się o tem nawet Ameryka i dlatego złagodziła absolutny zakaz jego sprzedaży, wydany przez Kongres. Najfatalniejsze następstwa ma jego wysoka cena, zachęca bowiem do pokątnej fabrykacyi przy użyciu materyałów zdrowiu szkodliwych. Kilka przypadków zatrucia, a nawet śmierci z powodu użycia takiej wódki zanotowały nasze pisma codzienne w ubiegłym tygodniu. Może skłoni to nasze władze do tem energiczniejszego zajęcia się poszukiwaniami za pokątnemi gorzelniami, których w Krakowie zwłaszcza w pewnych dzielnicach, podobno nie brak, ale dostęp do nich trudniejszy jest niż do opisanego przez Mickiewicza w „Pana Tadeuszu“ matecznika. Można śmiało zastosować tutaj słowa poety, który mówi:

„Zna je tylko po wierzchu ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice...“

Powie kto może, że byłoby to działanie na szkodę naszego przemysłu, możnaby ją przecież łatwo przeboleć, podobnie jak zamknięcie fabryki pieniędzy w Warszawie.

Polowania na „pokątników“ weszły u nas obecnie na porządek dzienny. I krakowski Cech krawiecki nie pozostał w tyle, lecz wypowiedział walkę na śmierć i życie tym, którzy trudnią się szyciem ubrań pokątnie, czyli, jak się mówi popularnie „robią na fuchę“. W orędziu do narodu, wydanem przez Cech krawiecki czytamy, że dzieje się to ze względu na interes publiczności, by ją nie narażać na straty, nam się przecież wydaje, iż wchodzi tu w grę raczej interes majstrów krawieckich, chcących się w ten sposób pozbyć niewygodnej konkurencyi, przyczyniającej się bądź co bądź do tego, że dyplomowani krawcy i krawczynie nie mogli dyktować zbyt wygórowanych cen. Krawieczyzna zaś, zwłaszcza damska, stanowiła od niepamiętnych czasów uboczne zajęcie różnych ukwalifikowanych osób, nie mających jednak urzędowego do tego uprawnienia. Dotąd nie było to nikomu solą w oku, teraz dopiero wziął sobie Cech krawiecki do serca interesy publiczności i obawia się, aby przypadkiem nie poniosła szkody.

Biada ci więc Czytelniku, gdybyś został przyłapany przez Komisyę śledczą krawiecką na przyszywaniu sobie guzika do... niewymownych. I igła i guzik i one ulegną konfiskacie, jeśli zaś jest to ostatnia twoja para; co u inteligenta może łatwo mieć miejsce, będziesz na dłuższy czas unieruchomiony, na sprawienie zaś nowej trzeba będzie rozpisać publiczną subskrypcyę, odwołując się do serc litościwych, by umożliwiły egzystencyę wytrąconej z równowagi życiowej niewinnej jednostce.

W Kielcach zamknięto natomiast pokątną fabrykę świadectw wyższych uczelni, prowadzoną przez pewnego przemysłowego „neutralnego“ młodziana, który czynił to tylko w tym celu, aby na Kongresowiaków nie narzekano, że posiadają jedynie „domowe wykształcenie“ a nie mogą się wykazać urzędowem tegoż potwierdzeniem. Niestety chęci jego zostały prawie w zarodku sparaliżowane, niedawno dopiero bowiem rozpoczął przedsiębiorstwo i zaopatrzył się w potrzebne w tym celu pieczęci itd.

Wszystko to jest jednak niczem w porównaniu z radosną wiadomością, że polska marka idzie stale w górę. To nas tylko martwi, że o tem donoszą jedynie gazety, w życiu zaś codziennem odczuć tego nie można, a ceny artykułów pierwszej potrzeby idą stale w górę, widocznie biorąc sobie przykład z marki.

Czy przyczyną tej zwyżki naszej marki jest decyzya Ligi Narodów w sprawie górnośląskiej, czy też zabranie się przez ministra Michalskiego na seryo do wymiatania śmieci, by oczyścić dom, czy też jedno i drugie, tego nie sprawdziliśmy, nie jest jednak wykluczonem, że jest to tylko pozorna zwyżka spowodowana zniżką marki niemieckiej, wywołaną sztucznie celem wpłynięcia na decyzyę mocarstw sprzymierzonych przed ostatecznem rozstrzygnięciem losów Górnego Śląska.

obrano p. Ostrowskiego Witolda, p. Sikorę Wincentego i p. Aleksandrowiczównę Anielę. Obrady zarządu głównego toczyły się około ustalenia nowego programu i kierunku pracy w myśl dyrektyw walnego zjazdu T. S. L., którego działalność zwracała ostatnimi czasy mniejszą uwagę społeczeństwa niż dawniej, ma obecnie stać się ośrodkiem propagandy państwowości polskiej w szerokich masach i jednoczyć w sobie wszystkie objawy tej akcyi na wzór zagranicznych towarzystw społeczne-oświatowych, które naprzykład we Francyi stanowią prawdziwą potęgę. Prócz tego zaś akcya T. S. L. ma się zwrócić na kresy wschodnie, gdzie wspólnie z rządem starać się będzie utwierdzić polskość tych ziem; w najbliższym czasie działalność Towarzystwa rozszerzy się na całą naszą granicę wschodnią od Białorusi począwszy — na południe.

Troskę poważną stanowiła dla zarządu głównego kwestya finansowa, którą postanowiono rozwiązać różnymi sposobami i w tym celu powzięto szereg uchwał. Między innymi, obok Daru 3 Maja, powróci T. S. L. do dawnego zwyczaju rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych z prośbą o jednorazowy datek na cele T. S. L. Obok tego Towarzystwo Szkoły Ludowej zwróci się również do wszystkich instytucyi handlowo-finansowych z prośbą o przystąpienie na stałych członków Towarzystwa z wydatną wkładką roczną.

Tematem obrad walnego zjazdu i zarządu głównego była również metoda postępowania na wsi, przyczem ustalono kierunek ten, że na wieś nie należy obecnie dawać oświaty w postaci książek, broszur itp. za darmo, lecz żądać ofiary również od samego chłopa, co wprowadzi go w obowiązki społeczne i podniesie w jego oczach wartość niesionej oświaty. Przez zainteresowanie ogółu w prasie i na wiecach oświatowych T. S. L. zjednoczy w krótkim czasie tych wszystkich, którzy trzeźwo patrzą na istotę naszej potęgi państwowej i narodowego dobrobytu.



Pożar magazynu „Au Printemps" w Paryżu: Praca ratownicza na głównej fasadzie magazynów od strony Bulwaru Haussmanna.

O odbudowę Francyi.

Jednym z głównych warunków traktatu wersalskiego jest odbudowa zniszczonych przez wojska niemieckie obszarów na ziemi francuskiej. Drogę swą znaczyli ci nowocześni Hunowie takiem spustoszeniem, iż śmiało powtórzyć można, że kędy przeszła stopa niemieckiego żołdaka, długi czas nawet trawa nie porośnie. Najpiękniejsze i najzamożniejsze okolice Francyi zmieniły się w pustynię, na k órych kupy gruzów znaczą kierunek przemarszu wilhelmowych szeregów. Niemcy, zbyt ewni swego zwycięstwa, starali się przy sposobności wkroczenia na terytoryum francuskie o gruntowne zniszczenie tamtejszego handlu, przemysłu i dobrobytu, wychodząc z założenia, głoszonego przez Hindenburga, że z im większą wojna prowadzoną jest bezwzględnością, tem krócej trwa.

Jedno i drugie ich zawiodło. Wojna trwała dłużej, niż się spodziewali i nie przeciwnik, lecz oni wyszli z niej pokonani i dziś zmuszeni są do naprawienia złego, jakie wyrządzili.

W sprawie odbudowy zniszczonych przez Niemców okolic odbyła się w dniu 6. października b. r. w Wiesbadenie konferencya między delegatem rządu francuskiego, Loucherem, a zastępcą niemieckim, Rathenauem. Przedmiotem jej było omówienie kwestyi ściśle z odbudową związanych, w szczególności zaś świadczeń w naturze, jakie miałyby przyjąć na się Niemcy, by się uchronić od niszczenia kosztów w złocie, którego nie posiadają. Rozchodzi się zaś nie o bagatelę, lecz o kwotę siedmiu miliardów franków w złocie, na tyle bowiem obliczono koszta odbudowy od dnia 1. października 1921 do 1. maja 1926. Rząd niemiecki byłby oczywiście rad, gdyby pozwolono mu na podjęcie prac około odbudowy w naturze, nie tylko bowiem złoto pozostałoby w kraju, ale zyskałby na tem niemiecki przemysł ze szkodą francuskiego. Przeciw temu wystąpiła opinia francuska, sprzeciwiając się podobnemu rozwiązaniu sprawy i nie życząc sobie bynajmniej, by niemieckie ręce i niemiecki materyał miały być użyte do celów odbudowy.

Jeszcze przed rozpoczęciem pertraktacyi wyłoniły się trudności, Niemcy zażądali bowiem, aby umowa wiesbadeńska spisaną została w języku francuskim i niemieckim i aby oba teksty posiadały jednakową moc prawną. Sprzeciwił się temu Loucher, obstając przy tem, że jedynie obowiązującym może być tylko tekst francuski, a Niemcy, jeśli mają ochotę, mogą go sobie przetłómaczyć, na jaki im się język podoba. Wystąpienie Louchera w tej sprawie było tak stanowcze, że Rathenau musiał z swych żądań zrezygnować.

Umowę między obu rządami zawarto w myśl żądań przedstawiciela francuskiego. Rathenau okazał się skłonnym do daleko idących ustępstw na rzecz Francyi, w nadziei, jak się potem okazało, że wpłynie to dodatnio na rozstrzygnięcie kwestyi górnośląskiej, które właśnie dobiegało do końca, na korzyść Niemiec. Gdy nadzieje zawiodły, niemiecka prasa oświadczyła zupełnie otwarcie, że uniemożliwiono w ten sposób Niemcom wykonanie przyjętych na się w umowie wiesbadeńskiej zobowiązań.

I. Kurs pożarnictwa okręgu Dyrekcyi kolejowej lwowskiej.

Miliardowe szkody jakie wyrządzają na kolejach szerzące się pożary zniewoliły Ministerstwo Kolei Żelaznych do żywszego zajęcia się sprawą bezpieczeństwa ogniowego.

Pierwszym krokiem było zamianowanie dyrektora Krajowego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych p. Bolesława Wójcikiewicza ekspertem pożarnictwa kolejowego i poruczenie mu zbadania stanu bezpieczeństwa ogniowego na terenach kolei w Małopolsce.

Już w krótkim czasie swego urzędowania zdołał radca Wójcikiewicz stwierdzić na kolejach braki w narzędziach ogniowych, które zniszczone zostały podczas wojny, a doszedł do przekonania, iż przyczyną szerzenia się pożarów jest również brak organizacyi służby strażackiej, złożonej z pracowników kolejowych obeznanych dokładnie z akcyą pożarniczą, która dziś objęła bardzo szerokie kręgi wiedzy technicznej.

Po ustaleniu jakości i ilości przyrządów ratunkowych potrzebnych dla poszczególnych instytucyi kolejowych, wniósł r. Wójcikiewicz do M. K. Z.



Nasz zamorski przyjaciel: Krakowianin, p. Jan Mastek, *secundo tenente* (podporucznik) armii brazylijskiej.

projekt wyszkolenia na polu pożarnictwa pewnej liczby pracowników kolejowych, którym powierzonoby organizacyę i kierownictwo kolejowych Straży pożarnych.

Dyrekcya lwowska, a w szczególności prezes jej, p. Barwicz, zrozumiał pierwszy doniosłość projektu radcy Wójcikiewicza i zarządził, aby wszystkie większe instytucye kolejowe okręgu lwowskiej



Pożar magazynu „Au Printemps" w Paryżu: Gaszenie ognia na narożnej kopule u zbiegu ulicy Caumartin i Bulwaru Haussmanna.



Jak w sporcie: Internowany obecnie na Węgrzech były cesarz austryacki i król węgierski, Karol, z energiczną swą małżonką Zytą

Dyrekcyi, wysłały do Lwowa odpowiednich kandydatów na Kurs pożarnictwa, który trwał siedm dni.

Przybyło też 45 uczestników między nimi inż. Krajewski zast. naczel. kolej. warsztatów w Przemyślu, kierownictwo zaś Kursu objął radca B. Wójcikiewicz, któremu do pomocy przydzielony został w charakterze instruktora p. Karol Rożiczka.

Oprócz ćwiczeń praktycznych wykładał p. Wójcikiewicz chemię, konstrukcyę przyborów pożarnych, taktykę pożarniczą i zasadę budowy pomp i maszyn. Inżynier Bogucki zaznajomił uczestników z elektrycznością a dr. Notz pięknie wyłożył pierwszą pomoc lekarską w nagłych wypadkach.

Na zakończenie Kursu złożyły się: efektowny popis na strażnicy miejskiej i egzamin teoretyczny w budynku dyrekcyjnym. Przybyli na nie: prezes Barwicz, wiceprezes Nosowicz, dyr. Mydlarski, radca A. Bohusiowicz i szefowie poszczególnych wydziałów z naczelnikiem kolejowych warsztatów lwowskich inż. Gayczakiem. Brawurowe ćwiczenia strażackie i trafne odpowiedzi uczestników wprowadziły w podziw przybyłych gości, iż w stosunkowo bardzo krótkim czasie zdołano tak obszerny materyał należycie sobie przyswoić. Prezes Barwicz w serdecznych słowach podziękował też za mozolną pracę rad. Wójcikiewiczowi i instr. Karolowi Rużyczce oraz Komendantowi m. Straży pożarnej p. Opaczyńskiemu za pomoc i użyczenie budynku strażackiego oraz przyrządów do ćwiczeń, życząc równocześnie, aby Kurs ten, jako pierwszy w Małopolsce, przyczynił się do zmniejszenia klęsk pożarowych na kolejach, a tem samem wpłynął dodatnio na dobro skarbu naszej Ojczyzny.

Wreszcie podziękował prelegentom imieniem uczestników st. inż. Krajewski, który zaznaczył, iż ze względu na tak bardzo obszerny materyał, przyszłe kursa trwać powinny minimalnie 14 dni, poczem okrzykiem „Niech żyją nauczyciele!“ zakończył swe przemówienie.

Wspólna fotografia i rozdanie świadectw stanowiły ostatni punkt programu tej pięknej uroczystości, zamykającej tak bardzo pożyteczną pracę na polu pożarnictwa kolejowego.

Z pracy kulturalnej w południowej Lubelszczyźnie.

Szkolnictwo, zwłaszcza zaś na najniższym jego stopniu, zwracało na siebie za czasów rządów rosyjskich w byłej Kongresówce, zbyt mało uwagi. O szerzenie oświaty, szczególniej zaś między ludem wiejskim, nikt się nie troszczył, rządowi zależało na tem, aby go utrzymać w stanie jak największej ciemnoty, wszystkie zaś usiłowania szlachetnie myślących jednostek, niosących chętnie i ofiarnie między maluczkich „oświaty kaganiec“ uważano za zbrodnię, groźną dla państwa rosyjskiego i prześladowano bez litości.

Dziś, gdy spadły krępujące nas okowy, i pod tym względem stosunki zmieniły się zupełnie. Do niesienia oświaty między lud przywiązuje rząd polski wielką wagę i nie szczędzi w tym kierunku jak najdalej idących wysiłków i kosztów, by położyć silne podwaliny, na których ma się rozwinąć racyonalnie pojęte szkolnictwo, dające wykształcenie nie tylko teoretyczne, lecz, co może nawet ważniejsze, i praktyczne. Powstaje cały szereg szkół, tak powszechnych, jak i zawodowych, a liczny napływ chętnych oświaty świadczy bardzo pochlebnie o naszym ludzie, który zrozumiał widocznie jej wartość i znaczenie.

Z trudnościami ma się oczywiście do czynienia tu i ówdzie, na ogół jednak rozwój niższego szkolnictwa na całym obszarze byłego Królestwa Polskiego, uważać należy za pomyślny. Zwłaszcza szkoły zawodowe i różnorodne kursy praktyczne, dające obok teoretycznego także i fachowe wyszkolenie, a tem samem sposobność do zarobienia sobie uczciwie na kawałek chleba, cieszą się wielkiem uznaniem i zwolna naprawiają te szkody, jakie wyrządził dawny system rosyjski, będący negacyą uznanej przez cały świat maksymy: „Przez oświatę do wolności“.

Ludność wiejska uczy się w tych szkołach racyonalnego prowadzenia gospodarki, zaspakajania swych potrzeb swojemi własnemi siłami, co wszystko razem wziąwszy, przyczynić się musi także i do podniesienia jej dobrobytu. Na mury szkoły spoglądają też, tak młodsi, jak i starsi z sympatyą, a czas, w nich spędzony, wspominają z wdzięcznością, nie tak, jak to było lat temu jeszcze niespełna ośm wstecz. Szkołę i naukę, która z niej płynie, uważa się za dobrodziejstwo dla wsi, nauczyciela zaś za prawdziwego przyjaciela i dobrego doradcę.

Dnia 18 września br. odbyło się uroczyste zakończenie Kursu kroju i szycia w Szkole Gospodyń Wiejskich na folwarku Teodorówka pod Biłgorajem połączone z pokazem prac kursistek i wyrobów stałych uczenic szkoły. Początkująca ta szkoła potrzebowała obudzenia zajęcia u mieszkańców powiatu, doskonałą do tego sposobnością było urządzenie przez kierowniczkę Szkoły p. M. Kantorową 5 ciotygodniowego Kursu kroju i szycia, co wśród włościanek musiało obudzić obecnie jeszcze żywsze zainteresowanie niż zwykło budzić przed wojną. Nauczycielką była p. Józefa Malinówna z Krakowa, która się doskonale wywiązała ze swego zadania wobec 23 uczenic w wieku od 15 do 30 lat, w części mężatek, pochodzących z Biłgoraja, powiatu biłgorajskiego i sąsiedniego zamojskiego.

Nasz zamorski przyjaciel.

O poczytności, jaką cieszą się *Nowości Illustrowane* nie tylko w kraju lecz daleko poza jego granicami, służyć może fakt, iż nawet w Brazylii mamy swych przyjaciół, dla których nadejście każdego numeru naszego pisma jest prawdziwem zdarzeniem dnia, łączącem ich duchowo z Ojczyzną.

Do ich rzędu zaliczyć musimy przedewszystkiem p. Jana Mastka, Krakowianina, zamieszkałego stale od r. 1904. w Kurytybie w stanie Parana. W liście swym do rodziny wspomina p. Mastek z wielką życzliwością o *Nowościach Illustrowanych* ubolewając, że tak rzadko ma się sposobność spotkać za Oceanem z pismem, tak przezeń od lat siedmnastu ulubionym.

Opuściwszy Europę, poświęcił się p. Mastek w Brazylii początkowo zawodowi nauczycielskiemu. Należąc do milicyi, brał udział w wyprawie paragwajskiej, w czasie której odznaczył się zaszczytnie i ozdobiony został medalem za waleczność. Przez pewien czas pełnił obowiązki tłómacza przy boku prezydenta republiki brazylijskiej, następnie zaś poświęcił się karyerze wojskowej, uzyskując w sierpniu b. r. stopień oficerski (*secundo tenente*, odpowiadający randze naszego podporucznika). Zazna-



Monarchiści niemieccy nie dają za wygraną. 1) Książę wirtemberski Albrecht i książę pruski Zygmunt podczas pogrzebu byłego ostatniego króla Wirtembergii. 2) b. następca tronu bawarskiego książę Ruprecht wraz z ks. Leopoldem wskrzeszają podczas parady wojskowej w Monachium dawne tradycye.

czyć wypada, że p. Mastek jest wogóle pierwszym Polakiem w stanie Parana, któremu udało się zdobyć szlify oficerskie, co dla cudzoziemca połączone jest z wielkiemi trudnościami.

W liście swym narzeka nasz „Brazylijczyk" na ciężkie położenie finansowe, gdyż i tam odczuwać się dają skutki wojny światowej, a drożyzna rośnie z każdym dniem. Pobiera wprawdzie 400 milreisów miesięcznej gaży, co na oko przedstawia się bardzo ponętnie, lecz dodaje równocześnie, że obecnie jeden dolar równa się w kursie giełdowym dziesięciu milreisom, gdy do niedawna żądano za niego tylko cztery. Zupełnie podobnie, jak i nas, drożeją przedewszystkiem artykuły codziennej potrzeby, w szczególności zaś ubranie.

Polacy, przebywający, jak wiadomo, w znacznej liczbie i w Brazylii, cieszą się u tamtejszej ludności wielką sympatyą, na którą zasłużyli sobie sumienną i uczciwą pracą i przywiązaniem do tymczasowej swej ojczyzny, której służą wiernie, choć serce ciągnie stale nad Wisłę. Na obczyźnie zacierają się różnice przekonań politycznych, wszyscy czują się tylko Polakami, żyją w zgodzie, spiesząc sobie wzajemnie w razie potrzeby z radą i pomocą.

Dowodem uznania, jakiem się cieszy p. Mastek u sfer przełożonych, jest, że choć obecnie pełni służbę w pierwszym batalionie, zaliczonym jest do sztabu korpuśnego i przeznaczonym już w najbliższym czasie do dalszego awansu.

Pożar magazynu „Au Printemps" w Paryżu.

Do największych magazynów świata należą magazyny paryskiej firmy „*Au Printemps*". Jest to przedsiębiorstwo zakrojone na tak szeroki rozmiar, o jakich my nawet pojęcia nie mamy. Można tam zaopatrzyć się we wszystko, od rzeczy najskromniejszych do najwytworniejszych, co przeciętnemu osobnikowi może być potrzebnem.

Magazyny „*Au Printemps*" zajmują całą dzielnicę w najludniejszej części miasta, stanowiąc w niem zupełnie odrębną całość. Frontem zwrócony do Bulwaru Haussmanna, z trzech innych stron otoczony ulicami: Caumartin, de Provence i Charras, składa się z całego kompleksu budynków, przeznaczonych na pomieszczenie najrozmaitszych działów tego światowego przedsiębiorstwa. Aby je wszystkie dokładnie zwiedzić trzeba na to kilku tygodni czasu. Paryżanie dumni są ze swego magazynu, oceniają też jego wartość i znaczenie, nie tylko jako atrakcyi dla obcych, lecz i ze względów czysto praktycznych, jako miejsca, gdzie można załatwiać swe zakupy. W magazynie ruch też od wczesnego rana do późnego wieczora, przez ubikacye poszczególne przewijają się stale tysiące, które sprowadza tu ciekawość lub interes.

Łatwo zrozumiałe wrażenie wywołała zatem wiadomość, jaka się lotem błyskawicy rozniosła po całym Paryżu w 25 września b. r., że „*Printemps* się pali!..." Tysiące Paryżan podążyły na miejsce katastrofy, by być świadkami wypadku i energicznej akcyi ratunkowej, trwającej przez dzień cały. Z monumentalnego budynku, mającego stanowić prawdziwą ozdobę stolicy, a będącego dopiero na ukończeniu, pozostały tylko ściany, wnętrze, wykonane z całym nakładem wysiłków najbardziej znanych artystów, padło ofiarą rozszalałego żywiołu. Za szczęście uważać należy, że pożar wybuchł wczesnym rankiem, gdy magazyny przygotowywano dopiero do otwarcia i rozpoczął się od najwyższego piętra. obeszło się bowiem bez niedzownej w takim wypadku paniki i ofiar w ludziach. Straty wyrządzone pożarem idą w miliony.

Magazyny „*Printemps*", które uległy zniszczeniu, zostały otwarte w r. 1865 i zajmowały wówczas olbrzymi budynek na bulwarach Hausamanna. Lecz 9 marca 1881 wybuchł pożar w dziale haftów i rozwinął się z szybkością niezwykłą. Straż ogniowa nie była w stanie opanować pożaru, zerwał się sufit, raniąc kilku strażaków. W parę godzin później magazyny były już w gruzach. Z towarów prawie nic nie uratowano. Otwarcie nowo odbudowanych magazynów miało miejsce w r. 1882. Magazyny stale rozszerzano. Później rozpoczęte budowę nowego gmachu. którego pierwsza część otwartą została w r. 1910. Prace budowlane przerwane zostały na czas wojny, po zakończeniu której rozpoczęto dalszą budowę. Właśnie w tym nowym gmachu wybuchł 25 września pożar, pozostawiając z wspaniałego budynku tylko części metaliczne.

Jak w operetce.

Nieudała wielkanocna wyprawa ex-króla Karola po koronę węgierską, nie odebrała mu widocznie ochoty nowego spróbowania szczęścia skoro w dniu 21 października b. r. ponowił znów swój zamiar.

Tym razem przybył Karol na Węgry w towarzystwie swej małżonki, Zyty, drogą powietrzną, a samolot wiozący parę królewską wylądował tegoż dnia około 3. godziny popołudniu w Szoproniu. Ex-króla powitali jego zwolennicy, za nim oświadczyła się też stojąca tutaj załogą dywizya węgierska pod komendą Ostenburga. Karol zaraz po przybyciu zamianował nowy gabinet, powierzając jego kierownictwo Rakowskyemu, poczem wybrał się wraz z małżonką i wiernemi wojskami w stronę Budapesztu.



Z Teatru „Nowości": b. artystka baletu petersb. Nadieżdina.

Wiadomość o pojawieniu się Karola na terytoryum węgierskiem wywołała łatwo zrozumiałe wrażenie w całym świecie. Uznano je słusznie za krok mogący bardzo łatwo doprowadzić do zamącenia równowagi politycznej w Europie środkowej, a najbliżsi sąsiedzi Węgier, najbardziej zatem w tym wypadku interesowani, oświadczyli gotowość poparcia wszelkiemi siłami obecnego rządu węgierskiego w walce przeciw niefortunnemu pretendentowi do korony św. Szczepana. Ludność węgierska natomiast zwraca się w znacznej większości z sympatyami w stronę byłego władcy, rząd natomiast węgierski obstaje przy poszanowaniu postanowień traktatu pokojowego, odbierającego Karolowi prawa do korony i uważa go za uzurpatora, zakłócającego porządek publiczny.



Z Teatru Nowości: Wybitna siła w zespole Teatru „Nowości", artystka. Marya Czernekówna.

Na wiadomość o pochodzie Karola na Budapeszt, skonsygnował rząd węgierski wierne sobie wojska oddając je pod dowództwo jenerała Nagy'ego.

Stały się zatem Węgry, dzięki awanturniczości swego byłego króla widownią wojny domowej, która na szczęście skończyła się już w pierwszym dniu klęską karlistów, a exkról wraz z małżonką dostali się do niewoli.

Na temat tych wydarzeń obiega świat mnóstwo pogłosek, mówiących o zamachu na Karola, to znowu na naczelnika Horty'ego, o zamiarach samobójczych byłego króla na wypadek nieudania się przedsięwzięcia, są to jednak wszystko wymysły, pewnem jest jedynie, że para królewska znajduję się w ręku wojsk rządowych i internowaną została w Toti w okolicach Komorna, gdzie oczekuje dalszego swojego losu.

Rząd węgierski przedłożył delegatowi ex króla Karola swoje warunki, żądając bezwarunkowego ich spełnienia.

Monarchiści niemieccy nie dają za wygraną.

W demokratycznej republice niemieckiej, we wszystkich jej niemal okolicach spotykamy się aż nazbyt często z manifestacyami uczuć monarchistycznych, świadczącemi aż nazbyt dobitnie, że większa część ludności nie godzi się z nowym porządkiem i ustawicznie wzdycha do dawnych czasów, gdy na tronie zasiadał Wilhelm II. Objawy te zauważyliśmy niejednokrotnie w Berlinie, naprzykład z okazyi przewiezienia zwłok ex cesarzowej Wiktoryi z Holandyi do Poczdamu, obecnie coś podobnego powtórzyło się w Monachium i Sztuttgarcie.

W Sztuttgarcie odbył się dnia 7. października b. r. pogrzeb byłego ostatniego króla wirtemberskiego, urządzony z zastosowaniem pełnego dworskiego ceremoniału, przy współudziale książąt krwi, którzy wystąpili w paradnych mundurach, obwieszeni orderami, w ręku z laskami marszałkowskiemi, do których nie mają obecnie prawa. Nikogo to przecież nie raziło, przeciwnie ci przedstawiciele dawnego systemu byli na każdym kroku przedmiotem gorących owacyi ze strony tłumu.

Zupełnie to samo powtórzyło się w dniu 9. października w Monachium, gdzie skorzystano ze sposobności obchodu uczczenia pamięci bohaterów wojny, aby dać głośny wyraz swym wiernopoddańczym uczuciom, które skierowano pod adresem książąt bawarskich, byłego następcy tronu Ruprechta i Leopolda. Na uroczystość przybyli oni również otoczeni całym blaskiem swego dawnego majestatu należącego dziś do przeszłości.

Bardzo trafnie charakteryzuje zachowanie się ludności monachijskiej korespondent londyńskiego „*Times'a*", który używa następujących słów:

„Gdy następca tronu Ruprecht pojawił się na placu, gdzie się odbywała parada, w mundurze polnego marszałka, nastąpiła scena *dzikiego entuzyazmu*".

Z teatru „Nowości".

Jeden z wzorowo prowadzonych, a w Krakowie stanowczo najlepszy teatr operetkowy — to „Nowości", zostające pod kierownictwem dyrektorów: T. Pilarskiego, świetnego reżysera i R. Gawlikowskiego sprężystego administratora.

Powodzenie wprost fenomenalne w dzisiejszych ciężkich czasach zawdzięczają „Nowości" nietylko starannemu doborowi repertoaru i sumiennej dbałości w wystawie, ale i szczególniej dobranemu zespołowi artystów, wśród których widnieją nazwiska o ustalonej już marce.

Nie od dziś atrakcyą tego teatru jest pełna temperamentu i niezwykłej urody artystka baletu pna Nadieżdina, elewka, a potem członek słynnego baletu petersburskiego. Panna Nadieżdina występowała z nadzwyczajnem powodzeniem w Warszawie, obecnie — i na stałe już — pozostała gwiazdą teatru „Nowości".

Z kobiecego zespołu wybiła się na pierwszy plan urocza a pikantna subretka pna Marya Czernekówna, artystka, mimo młodych swych lat o zdumiewająco bogatym repertuarze, obdarowana pięknym głosem i wyjątkowo szczęśliwymi warunkami zewnętrznymi.

Portrety obydwóch ulubienic publiczności podajemy w dzisiejszym numerze. *Kr.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.